boso, toteż w odróżnieniu od elegantek, miała nogi gładkie i wolne od bąbli. Nie używała również wody utlenionej. Wychowując się pośród konopi, przyjęła od nich prawem mimicry, barwę dla swoich włosów. Szaro złocisty odcień upodobniał je do konopi, czyli wyrażając się wytwornie, wpadały one w ton „blond platine". Te naturalne bogactwa Andzi sprawiły, że Paweł z natury bardzo nieśmiały, począł ją nagabywać w jakimś nieokreślonym zamiarze. Po pewnym czasie ustalili oboje, że będzie jej udzielał jakichś tam lekcyj. — (Andzia była analfabetką). Nie zwlekając, zasiedli do pracy i wkrótce okazało się, że raczej Andzia nadaje się na profesora. Wcześniej od niego posiadła tę podstawową wiedzę, bez której życie ludzkie stałoby się jeszcze trudniejszą zagadką.

Paweł nauczył się od niej wiele i był jej za to dozgonnie wdzięczny.

Wiedza, którą posiadł, nie figurowała w żadnym gimnazjalnym programie i uchroniła go od wielu komplikacyj, zagrażających młodzieńcom w wieku dojrzewania.

Praktyczne to nauczanie zostało przerwane boleśnie z końcem wakacyj. Nie zdało się na nic udawanie chorego. Niezręczne symulacje wyszły najaw i Paweł chcąc nie chcąc musiał jechać do szkoły. Nigdy z tak ciężkiem sercem nie żegnał ojcowskiego domu. Pamięć jego zyskała jeszcze jeden prezent — wspaniałe nogi, dziewczęco smukłe o kształtnych kolanach. Założone jedna na drugą, rozsiadły się na stałe w jego wyobraźni.

I tak ziarnko do ziarnka w miarę upływających lat, w podświadomości Pawła zarysowywał się coraz wyraźniej typ owej fatalistycznej kobiety, o której zwykły paplać panie z prowincji. Każde przeżycie miłosne przynosiło jakiś drobny szczegół, a wyobraźnia przyklejała go natychmiast do urojonego kadłuba. Z poszczególnych kawałków tułowia, zapożyczonych od różnych istot, pomysłowa fantazja rzeźbiła nowy kobiecy model, mający jakgdyby służyć Pawłowi za prawzór przyszłego gustu. Mozolna ta praca odbywała się w jego podświadomości potajemnie, on sam nie brał w tem żadnego udziału. Wprawdzie czuł, że się tam coś w wyobraźni kleci i kształtuje, ale przekonał się o tem znacznie później — w chwili odsłonięcia skończonego dzieła.

Było to właśnie na owym balu architektury. Tam Paweł ujrzał w ucieleśnionej postaci, ów wykończony model własnego gustu.

Dostrzegł go w chwili, gdy model wspierając się na ramieniu starszego eleganta, wchodził z gracją po schodach dużego hallu.

Paweł stał przy galerji, oparty o balustradę. W dziwnem przeczuciu zapatrzył się w tę postać i odprowadzał ją wzrokiem na górę. Gdy weszli na galerję, mógł się jej przyjrzeć zbliska. Rzuciwszy okiem na jej twarz zauważył, że młoda osoba ma zgrabny nosek i zawinięte lekko ku górze kąciki ust, co nadawało jej twarzy wyrazu jakiejś szelmowskiej przekory. Dostrzegł również, że miała piękny kolor włosów — szaro złoty, zbliżony barwą do konopi, czyli mówiąc wytwornie w tonie „blond platine". Paweł ruszył ze swego miejsca i przeciskając się przez rozbawiony tłum, towarzyszył tej parze na uboczu, nie zwracając uwagi na towarzyszącego damie eleganta, przyglądał się ucieleśnieniu swojej wyobraźni. Trzeba przyznać, że model wypracowano znakomicie. Był smukły i niezwykle kształtny, ani za chudy, ani zanadto tłusty, słowem w sam raz.

W pewnej chwili, młoda dama, spojrzała przelotnie na Pawła, co pozwoliło na skonstatowanie, że miała oczy wpadające w zielonkawy odcień, trochę skośne i mrugające długiemi rzęsami. Jeszcze dla kompletnego oszołomienia, Paweł skontrolował jej nogi. Odważnie wycięta balowa suknia, odsłaniała je dość wysoko. Były bez pończoch. Przekonał się, że są dziewczęco smukłe i kształtne w kolanach. Delikatne, balowe sandałki, pozwoliły mu nawet na obejrzenie jej stóp, wymodelowanych antycznie i na wesoło. Reszta szczegółów pięknego modelu, jak smukłe ręce, biodra i osadzone wysoko, ozdobne piersi, były wykonane również bez zarzutu. Niewidzialni artyści, którzy pod okiem Stwórcy projektują modele kobiet, mających przyjść na świat, mogliby temi słowy przemówić do Pawła:

— Dołożyliśmy wszelkich starań, aby robota wypadła jak najlepiej. Trzymaliśmy się ściśle tych wzorów, których pan nam dostarczył ze swoich niekompletnych przeżyć miłosnych.

Owszem, miał pan niezły gust, wzory nadawały się do gruntownego opracowania. Ale to wszystko, co pan nam poznosił, to były zaledwie luźne kawałki, — „jedne od Sasa drugie od lasa". Dopiero musieliśmy przysiąść fałdów i zmontować to wszystko do kupy. A trzeba się było dobrze napracować, bo to panie nie sztuka poprzyklejać poszczególne części do kadłuba. Musi to przecież wszystko jakoś do siebie pasować. Ano, szczęśliwie się udało. Model poprostu żyje! Rusza się — mówi, śmieje się i płacze, słowem wygląda „jak ta lala".

A jeszcze trzeba dodać, że użyliśmy do tego najlepszych materjałów.

Zwłaszcza te oczy, te oczy udały się znakomicie, zupełnie jak u sjamskiego kota. No, a ten nosek czy nie wygląda jak z marmuru? To od tej pańskiej Nereidy, pamięta pan? Co to stała nad sadzawką. No, co tu dużo gadać, można śmiało panu powinszować. Model jest caca i oddajemy go do pańskiej dyspozycji. Tylko... czy aby będzie się pan umiał z nim obchodzić. Bo to rzecz delikatna i droga, musi pan bardzo uważać, żeby czegoś nie popsuć. Niestety, nie mogliśmy dołączyć przepisów obchodzenia się lalką, bo regulamin na to nie pozwala. Będzie pan musiał sam sobie jakoś radzić. A więc życzymy powodzenia, uszanowanie szanownemu panu!".

Tak, była to niewątpliwie owa fatalistyczna kobieta, o której wspominały damy z prowincji: — Pan się od miłości nie ustrzeże, pan trafi kiedyś na „Swój typ" i wtedy pan się naprawdę zakocha.

I miały baby rację. Teraz dopiero Paweł uświadomił sobie, że miały rację. Przebywając tu od dwóch godzin, nie wymyślił nic innego, jak przeciskanie się przez tłum balowiczów i obserwowanie tej młodej osoby.

Zaczęło to nawet zwracać jej uwagę.

Czując się obserwowaną, nie mogła ustrzec się od pewnej sztuczności w ruchach, co ją krępowało. A Paweł wciąż sterczał w pobliżu i oczy mu się jarzyły, gdy patrzał jak jego „Typ" stoi przy bufecie i pije kruszon, jak różowieją mu policzki i połyskują zęby w uśmiechu i jak spod czarnej, wyciętej sukni błyska białością nóg zgrabnie zwijających się w tańcu.

Tańczyła wciąż z tym starszym jegomościem.

Teraz dopiero Paweł zainteresował się bliżej jego osobą. — Wygląda na pięćdziesiątkę z okładem — osądził, przypatrując mu się natarczywie. — I ma w sobie coś szczurzego. Przydługi, ruchliwy nos i mrugające nerwowo powieki, spod których wybiegało niedobre, chytre spojrzenie.

— Muszę dowiedzieć się, co to za jedni — powziął nagłą decyzję i zaniechawszy dalszych obserwacyj, postanowił wypytać kolegów. Było ich niebrak na dorocznym balu. Pierwszy nawinął mu się pod rękę Antoni Lubystek z drugiego kursu. Zdążył już sobie podpić nienajgorzej i uśmiechnięty do całego świata, plątał się w tłumie, lekko zataczając. Paweł podtrzymywał go za rękaw.

— Zaczekajno przyjacielu, mam do ciebie interes.

— A Paweł! — rzucił się tamten z pijacką wylewnością — dobrze że jesteś, chodź napić się wódki.

— Owszem, ale to potem, wpierw chcę cię o coś zapytać.

— Nie, zapytasz jak wypijesz, no chodź Pawełku kochanie, — przymilał się, ciągnąc go w stronę bufetu.

— Ano trudno, niech będzie — przystał Paweł z pokorą.

Wypili po dwie większe, zakrapiane kminkówką.

— No, teraz gadaj o co ci chodzi? — przemówił Lubystek, usiłując z trudem skupić uwagę.

— Chodzi mi o pewną blondynkę, chciałbym się dowiedzieć, co to za jedna?

— Ha, dobre sobie, czyż ja prowadzę ewidencję blondynek? Jeszcze tak nisko nie upadłem — roześmiał się z ustami pełnemi mięsiwa.

— Licho wie, może akurat ją znasz, siedzisz tu dłużej ode mnie, no chodź, poszukamy.

Paweł dla większej pewności, wziął Lubystka pod rękę i poczęli się przedzierać przez ruchliwą ciżbę. Depcząc danserkom po nogach, potrącając kogoś co chwila i przepraszając, tłoczyli się z sali do sali. W pewnej chwili Paweł ścisnął Lubystka za łokieć i oznajmił, zduszonym szeptem:

— Jest!

Poczem jął nim obracać niby teleskopem, usiłując nadać jego spojrzeniu właściwy kierunek.

— O, patrz ta w czarnej sukni — obok starszy pan, ten z nosem, rozmawiają, widzisz?

— Aha, widzę — oznajmił teleskop schwytawszy objekt w pole widzenia — owszem niezła, ale wydaje mi się za chuda — wtrącił swoją uwagę.

— No i co, nie znasz jej przypadkiem?

— Ani trochę, pierwszy raz ją widzę.

— No to szkoda, wybacz, że cię napróżno fatygowałem.

— Rzeczywiście wielka szkoda — zgodził się Lubystek — zamiast łazić tyle czasu, moglibyśmy sobie spokojnie wypić parę kieliszków. Chodź Paweł, wypijemy po jednym. — Przypomniał sobie o wódce i nastawał z pijackim uporem. Ale w tej chwili cała uwaga Pawła skupiła się gdzieindziej.

Rzucając spojrzenie zukosa, śledził ukradkiem nierozłączną parę. Wysunęło się nowe pytanie. — Kto zacz jest ten szczurowaty elegant, sterczący obok kobiety, którą on, Paweł uważa już bezmała za swoją własność?

W tej chwili intruz zalecał się do tej „własności" w sposób wybitnie irytujący. Wnioskując z jego miny i uśmiechów prawił młodej osobie jakieś dwuznaczniki, ona zaś, odrzucając w tył bujne loki, odwracała chwilami twarzyczkę, jakby w zażenowaniu, w gruncie rzeczy jednak, słuchała go chętnie i często nie mogąc się powstrzymać, wybuchała dźwięczną koloraturą śmiechu. W pewnej chwili powstali oboje i Paweł zmiarkował, że kierują się w stronę bufetu.

— Nad czem tak medytujesz? — spytał zniecierpliwiony Lubystek.

— Muszę koniecznie dowiedzieć się, co to za jedna,

— Niema w tem nic trudnego, zatańcz z nią poprostu — jak tylko zagrają, podejdź, najzwyczajniej przeproś tego faceta i weź ją do tańca — przecież niczem nie ryzykujesz, najwyżej ci odmówi...

Na pierwszy rzut oka, sprawa zdawała się prosta, Lubystek stawiał tylko jeden warunek:

— Musisz przedtem wypić dwie duże wódki — bez tego ani rusz, może ci zabraknąć tupetu.

Paweł zastosował się do tej dziwacznej recepty i „wytrąbił" dwa kieliszki, jeden po drugim.

—No, miej ją teraz na oku, gdy tylko zagrają, wal śmiało. Ja tymczasem pójdę do znajomych, może dowiem się jej nazwiska.

To rzekłszy, upatrzył wśród zakąsek zgrabnego korniszonka, złowił go na wykałaczkę, zjadł ze znawstwem, poczem poklepał Pawła po ramieniu i zniknął w balowym tłumie. W chwilę potem, doszły z orkiestry odgłosy strojonych instrumentów. Paweł nerwowym ruchem obciągnął kusy fraczek i gdy usłyszał pierwsze fortepianowe takty, poprzedzające banalnego walca, ruszył naprzeciw swojego fatum.

Gdy przechodził przez pusty jeszcze środek sali, siląc się na krok elastyczny i pewny, czuł, że nogi chodzą mu sztywno i że stanowczo za długie ręce telepią mu się po bokach niezdarnie. Dama z lekkim rumieńcem podniecenia, wsłuchiwała się w szepty starszego pana. Paweł zatrzymał się przed nią. Zajęci sobą, nie zwrócili na niego uwagi. Sterczał tak, dłuższą chwilę niezauważony, powtarzając w krótkich odstępach czasu słowo: — przepraszam...

Wobec wzmagających się tonów wiedeńskiego walca, musiał powtarzać je coraz głośniej. Wreszcie nachylił się nad jegomościem i krzyknął mu w samo ucho — przepraszam!...

Tamten zerwał się jak oparzony i spojrzał na Pawła z przestrachem, dama zaniepokoiła się również i zamrugała długiemi rzęsami. Elegant opanował się natychmiast, ściągając brwi i usta, wykreślił z twarzy wyraz niepokoju. Zwracając się do Pawła, spytał ostrym tonem:

— O co panu chodzi?

— Przepraszam, chciałem przeprosić i... spytać czy mogę przeprosić panią i prosić... — plątał się Paweł zmieszany, aż wreszcie dobrnął do końca tego trudnego zdania i jednocześnie zgiął się w ukłonie.

— Z obcymi nie tańczę — odrzekła dama tonem, wykluczającym dalsze perswazje.

Paweł ukłonił się raz jeszcze, powtórzył — przepraszam... — wykonał niezgrabnie „wtył zwrot" i odszedł, zmierzając do jedynej ostoi, jaką stanowił dla niego bufet. Zwrócony tyłem do baru, odczekał aż spłynie mu z twarzy rumieniec wstydu. Jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że nie spotkało go nic haniebnego, owładnęła nim jakaś złość nagła, zaprawiona kropelką podrażnionej ambicji. Wspomnienie oschłego tonu, z jakim dama odpaliła jego niezdarne zaproszenie do tańca, obudziło w nim to, czego nie ujawniał dotychczas na terenie miasta: było to „dobre o sobie mniemanie".

Wyhodowane przez wiejskie pannice, które kochały się w nim na zabój, ukrywało się ono na dnie jego świadomości. Wobec zbyt częstych onieśmieleń, wynikających z nieobycia, ukrywało się dotąd. Ukłute ostrą odmową, jak szpilką, „dobre mniemanie o sobie", poczęło się upominać o swoje prawa.

— Z obcymi nie tańczy... hm... dobre sobie, krzywdę jej zrobią, biedaczce — syknął ze złością.

Kazał nalać sobie angielkę wódki i wychylił ją duszkiem. Dało to pożądany efekt. Ambicja uciszyła się nieco a „dobre mniemanie o sobie", wkroczyło na tory pojednawcze.

— Przecież nie może tańczyć z pierwszym lepszym — rozważał — zresztą to nawet dobrze o niej świadczy, jest to napewno panna z dobrego domu, skromna, niewinna, która przyszła na bal pod opieką wujka.

Perswadując sobie w ten łagodny sposób, czuł, że poprzednia złość topnieje w nim, skrapla się i wyparowuje, zostawiając po sobie miłe ciepełko.

Pod wpływem wypitych wódek, pogrążał się coraz głębiej w jakiejś kleistej rzewności.

Były to symptomaty niepokojące.

Jeśli i nadal wierzyć starszym damom z prowincji, które wspominają dość często o miłości z pierwszego wejrzenia, możnaby już na podstawie tych symptomatów uważać Pawła za zakochanego. Rozmyślne zacieranie rozpoznawalności zjawisk i zbytnia pohopność do idealizowania wyróżnionego objektu, są to pierwsze symptomy tej przedziwnej choroby, która przejawia się paraliżem zdrowego rozsądku, ostrym katarem logiki i częstemi wysypkami zazdrości.

Oparty o ladę Paweł, stał pochylony nad kieliszkiem wódki. Zapatrzył się w mały, błyszczący na nim punkcik, który po chwili zaczął mu się dwoić w oczach, troić, rozpadać na drobniejsze punkciki i wreszcie rozsypał się szeroko pyłem srebrzystym, tworząc jakgdyby ekran dla wyobraźni.

Wyświetlano na nim obrazy, dotyczące jego najbliższej przyszłości. Były to filmy ckliwe, lecz miłe do oglądania. Dochodząca z sali tanecznej melodja straussowskiego walca, stanowiła dla nich odpowiednią ilustrację muzyczną.

Wszelkie inne odgłosy, jak gwar rozmów, śmiechy pijących przy bufecie, pobrzękiwania kufli i kieliszków, wszystko to razem zlało się w jeden szum stłumiony i płynący jakby z oddali.

Na ekranie widział siebie i ją, mrugającą długiemi rzęsami.

— Tak to ona, kobieta którą raz jeden spotyka się w życiu — objaśniał głos z ekranu wyobraźni — spójrz pan na te jej oczy, na ten nosek figlarny, obstalowany jakby na zamówienie, przecież każdy jej szczegół jest w pańskim guście, lepszej już pan nie znajdzie, szkoda nawet czasu na szukanie...

Nagle w słowa wplątał się jakiś głos inny, jakby znajomy, który rozległ się bliżej, tuż nad samym uchem.

— No, wypij już tę wódkę, cóż tak nad nią dumasz, kelner! dla mnie taką samą z kminkiem.

Głosowi temu towarzyszyło klepnięcie w ramię. Kunsztowny ekran wsiąkł w błyszczący punkcik, a jego miejsce zajęła postać Lubystka, nachylonego nad salaterką z grzybami.

— No i co, tańczyłeś z nią? — spytał.

— Nie, odmówiła — zdaje się, że jakaś porządna dziewczyna, widocznie nie wypada jej tańczyć z obcymi.

— Ale za to z tym obskurnym facetem wypada?

— Daj spokój, to pewnie jej wujek.

— Niech Bóg ustrzeże od takich wujków.

Wypróżnili zawartość kieliszków i Paweł uczuł, że wódka uderza mu do głowy.

Było to bardzo niepożądane, miał bowiem przykry zwyczaj robienia po pijanemu awantur. Kazał podać szklankę wody sodowej i popijał ją drobnemi łykami. Orkiestra zagrała tango.

— Idę do twojej lubej!—oświadczył nagle Lubystek, wsuwając do ust ciepły pierożek.

— Jeżeli chcesz z nią tańczyć, to nie uda ci się, ale zjedz to najpierw.

— Zjem po drodze, uda mi się! — odparł stłumionym głosem, przeżuwając. Przechodząc obok lustra, przyjrzał się sobie zukosa i poruszył zmysłowo nozdrzami.

Nie pokładając nadziei w uwodzicielskie zdolności Lubystka, Paweł podążył za nim zwolna, z pewną ciekawością. Idąc, zatoczył się mocno.

W drzwiach tłoczyło się liczne grono spektatorów i Paweł musiał przepychać się dłuższą chwilę, by osiągnąć rzut oka na salę.

Odszukał miejsce, gdzie siedziała — było puste. Przybiegł oczyma tańczące postacie. Gięły się i dwoiły mu się oczach. Wlepiał w każdą zkolei rozhybotane spojrzenie, szukając jasnych włosów i wyciętej sukni. W pewnej chwili przeraziła go myśl, że już wyszła.

W tem wielkiem mieście mogła zginąć dla niego na zawsze. Na samą myśl o tem, krew uderzyła mu do głowy.

Znalazł ją wreszcie, tańczyła. Paweł odczuł wszelkie możliwe przejawy radości; lecz w następnej chwili doznał bolesnego ukłucia w sam środek „dobrego mniemania o sobie".

Tańczyła „z tym idjotą" Lubystkiem. Radość pękła niby karnawałowy balonik, przypalony znienacka ogniem z papierosa.

Na tem miejscu zakwitały kolejno: bunt, oburzenie, wreszcie szewska pasja.

— Przecież Lubystek jest dla niej taksamo obcy, jak ja — uświadomił sobie w zdziwieniu, pomieszanem ze złością. — Czemuż to ja właśnie mam być tym wzgardzonym i skąd to wyróżnianie Lubystka?

Gdy usiłował napróżno rozwiązać tę towarzyską zagadkę, Lubystek posuwał damą w różnych kierunkach po szachownicy błyszczącej posadzki.

Do taktu obracał wprawo, wlewo i wyginał jak chciał ów piękny model kobiecy, wykonany dla Pawła na zamówienie.

Plótł jej coś nawet do ucha i pytał o coś, a ona odpowiadała z uśmiechem.

Poprostu zawarli znajomość.

A Paweł musiał obejść się smakiem.

Wolno mu było zaledwie przyglądać się im zboku. Lubystek dostrzegł go nawet gapiącego się zza framugi i wykrzywił się do niego kpiarsko. Paweł udał, że tego nie widzi, patrząc w jakiś odległy punkt, jakgdyby go tam nagle coś zaciekawiło.

— Bydlak z tego Lubystka — pomyślał ze złością i czmychnął czemprędzej do bufetu. Tu poczuł się trochę pewniej, podnosząc jednak do ust kieliszek, widział, że bardzo trzęsła mu się ręka. Po pewnym czasie zjawił się Lubystek.

— No i cóż, sam widziałeś — przemówił z triumfem — poznałem tę twoją damę.

— Co za „twoją" — żachnął się Paweł — taka jest „moja" jak i „twoja", jakaś pannica bez wychowania...

— O, przepraszam, pani Urszula jest moją „znajomą", zechciej to wziąć pod uwagę i nie wyrażać się o niej w ten sposób.

To rzekłszy, Lubystek zaśmiał się hałaśliwie.

— Urszula powiadasz?

— Pani Urszula — poprawił z naciskiem i znów parsknął śmiechem.

— Nie rób min głupich, tylko gadaj jak było — wybuchnął zniecierpliwiony Paweł, którego te żarty drażniły niewymownie.

— Nie śpiesz się tak, kotuchno, — uspokajał go Lubystek, głaszcząc po głowie z żartobliwą pieszczotą — zanim opowiem jak było, napijemy się wódki. Kelner, czysta dwa razy! — zarządził.

Wypili.

— No, gadajże wreszcie... — domagał się Paweł.

Lubystek wytarł spocone czoło. — Zgrzałem się w tym tańcu— rzekł, dysząc. — Ale dowiedziałem się od niej wiele, wiem również coś niecoś o tym, jak powiadasz, wujku, słyszałem o nim jeszcze dawniej, tylko nie wiedziałem, że to ten sam facet. Otóż... ale dłuższa historja, musimy wygodniej usiąść. — Wdrapali się na barowe, niewygodne stołki. Lubystek rozparł się łokciami na ladzie i wygiął swą postać dekoracyjnie. Paweł wiercił się niespokojnie.

— No, gadaj, gadaj... — przynaglał.

— Otóż, mój drogi, sprawa wygląda tak — rozpoczął Lubystek — ona, ta twoja donna, jest miłą rozwódką, właściwie jeszcze rozwodu niema, ale ma zamiar się rozwieść, to niekiedy starczy za rozwód. Narazie żyje z mężem w separacji. Mąż, były major, alkoholik, zwolnili go z wojska, może nawet wylali, jakaś niejasna sprawa, nie chciała tego wyraźnie powiedzieć. Nazywa się Urszula Dziubielowa, imię ma lepsze niż nazwisko, ale to nie jej wina, eksmajor nazywa się Dziubiel, tęgi to musi być pijak... napijmy się a propos.

— No, cyk...

— Cyk.

— Brrr, cóż to za podły trunek ta wódka — otrząsnął się Lubystek ze wstrętem i ciągnął dalej:

— Mieszka na ulicy S. numer 53, mieszkania zdaje się że sześć, może osiem, nie pamiętam, w każdym razie zapisz sobie numer